

Petting - zawsze grzechem (dr J. Pulikowski)

Katol. Dwumiesięcznik Społ. Krucjaty Miłości Miłujcie się nr 2-2004 s. 38-41. Opuszczam list pana D., w którym tenże pisze, że jest głęboko wierzący, żyje w małżeństwie 23 lata, ma 4 dzieci.

Drogi Panie D.!

Przyznaję, że przeczytałem Pana list z bardzo mieszanymi uczuciami, wśród których przeważał smutek. Uczciwie mówiąc nie mogę się z pewnymi twierdzeniami zgodzić. Myślę jednak, że lepsze to, niż udawanie zgodności myśli i przygłaskiwanie wszystkiego, jak to robią „dobrzy przyjaciele”, bo to nie rozwojowe i w gruncie rzeczy zakłada niereformowalność, a więc nierozwojowość rozmówcy.

Myślę, że część niezgodności naszych postaw wynika z niezrozumienia intencji oraz nieprecyzyjnie lub inaczej rozumianych pojęć. Obawiam się jednak, że część różnic jest nie do pogodzenia i będziemy zmuszeni „spisać protokół rozbieżności”. Niezgodności mogą pochodzić z innego rozumienia słowa „petting”. Ja używam go w rozumieniu następującym: działania pobudzające, prowadzące do reakcji organizmów, jak w normalnym współżyciu, tyle że celowo doprowadza się do wytrysku nasienia poza drogami rodnymi kobiety. Nie miałem na myśli pieszczot wyrażających bezinteresowną czułość, które są w małżeństwie nie tylko dozwolone, ale wprost wskazane i potrzebne. Używając słowa „bezinteresowną” chciałem podkreślić altruistyczną (a więc płynącą z miłości) intencję ukierunkowaną na dobro (w tym przyjemność) drugiego, a nie na własne egoistyczne doznanie. Pięknym przykładem bezinteresownej czułości może być matka pieszcząca swe dziecko. Może je obcałowywać dosłownie po całym ciele. Oczywiście odczuwa ona przy tym radość, która nie jest jednak celem, ale jakby „produktem ubocznym” jej działania. Myślę, że każda żona pragnęłaby być obdarowana taką czułością i podejrzewam, że odczuwałaby z tego znacznie większą i głębszą radość, niż z „technicznego” pobudzenia jej organizmu bez współżycia.

Zauważmy, że celem działań typu „czułość” nie jest wywołanie doznań, jak we współżyciu, a sprawienie radości i przyjemności kochanej osobie. Wszystkie pieszczoty akceptowane przez obie strony są tu dozwolone, choć trzeba oczywiście uważać, by nie przyniosły niezamierzonego skutku w postaci wspomnianej reakcji narządów. Jest o to bardzo łatwo u mężczyzn i stanowi naszą męską trudność w wyrażaniu bezinteresownej czułości.

Druga sprawa, o której muszę powiedzieć: wybaczy Pan, ale nie mogę uznać Pańskiego sposobu wnioskowania, będącego podstawą wygłaszanych uogólnień. Jeżeli ktoś czegoś nie widzi lub nie przeżywa, to jeszcze nie znaczy, że tego czegoś nie ma. Jeżeli ktokolwiek (wiarygodny) coś widzi lub przeżywa, znaczy to ni mniej ni więcej jak to, że omawiane „coś” jest możliwe do zobaczenia lub przeżycia. Uczciwiej i poprawniej z logicznego punktu widzenia byłoby np. powiedzieć: moja moją żona niczego nie przeżywa niż autorytatywnie stwierdzać: ma przyjemność tylko mężczyzna.

Po tym wstępie, mającym na celu doprecyzowanie pojęć i ustosunkowanie się do sposobu wnioskowania, podejmiemy analizę zawartych w liście twierdzeń i wypowiedzi:

„Nawet wierzący chcą pozbawić kobietę przyjemności...”

– oczywiście nigdy nie byłem przeciwnikiem zażywania przyjemności, pod warunkiem jednak, że są one pożyteczne, godziwe i tym samym mieszczące się w zamyśle Stwórcy dla człowieka. Zauważmy, że nawet silna, lecz sprzeczna z planem Stwórcy przyjemność, cieszy tylko przez chwilę i w perspektywie dłuższej przynosi człowiekowi szkodę, nie opłaca się. Nie żądajmy od Kościoła, by zezwolił na takie przyjemności, nawet gdyby ludzie masowo się tego domagali. Byłoby to sprzeniewierzeniem się misji troski o prawdziwe dobro, rozwój ku świętości i, ostatecznie, o zbawienie człowieka. Przykładem takiej złej przyjemności może być choćby samogwałt. Wszak dostarcza on silnej przyjemności. Bazuje na naturze człowieka stworzonej przez Boga. Nie wolno jednak wyciągać z tego wniosku, że to Bóg podarował tę przyjemność człowiekowi i tym samym jest ona naturalna i dobra. Przyjemność związana z działaniem narządów rozrodczych jest swoistą nagrodą Stwórcy za gotowość przyjęcia dziecka i podjęcia się trudów rodzicielstwa. Tymczasem człowiek próbuje „wykraść” przyjemność i zażywać jej w kontekście niezgodnym z naturą. Ten kontekst właśnie decyduje o tym, czy przyjemność jest dobra czy zła, pożyteczna czy szkodliwa, miła Bogu czy grzeszna. Nie ulega wątpliwości, że działanie narządów rozrodczych służy prokreacji. Celem pierwszym i podstawowym pracy narządów rozrodczych jest prokreacja. W oparciu o ten cel, naturalnym jest złożenie nasienia mężczyzny-ojca w otwartych na jego przyjęcie drogach rodnym kobiety-matki. Zauważmy, że nie jest to twierdzenie wynikające z nietolerancji fundamentalnego czy „wojującego” katolicyzmu albo z

dewocji, lecz jest oczywistą prawdą biologiczną. Tak się po prostu jako ludzie rozmnażamy. Można bez żadnego ryzyka powiedzieć, że nie było w zamyśle Stwórcy, by nasienie męskie wyrzucane było na zewnątrz na drodze masturbacji. Wydaje mi się zupełnie logiczne, że nie powinno się to dokonywać na skutek działań pary, która w ogóle nie myśli o przekazywaniu życia (związki przygodne, pozamałżeńskie). I tu najtrudniejszy moment: jestem przekonany, że nawet małżeństwo nie jest uprawnione do takich działań, w których dochodzi do wytrysku nasienia poza drogi rodne żony. Potwierdza to nauka Kościoła, jednoznacznie uznając stosunek przerywany za grzeszny. Żeby była pełna jasność: nie chodzi mi o przypadkową, mimowolną i niezamierzoną reakcję, a o planowanie takich działań. Proszę wybaczyć, lecz jest to coś w rodzaju samogwałtu we dwoje.

„Przez złożenie nasienia w pochwie przyjemność ma tylko mężczyzna”...

Twierdzenie to nie jest w pełni prawdziwe. Myślę, że jest napisane uczciwie, jednak jedynie na podstawie osobistego doświadczenia. Jest prawdą, że tak się dzieje w wielu małżeństwach. Nie jest jednak uprawnione uogólnianie. Otóż kobieta, podobnie jak mężczyzna, może przeżywać ogromną przyjemność ze współżycia. Zatem lepiej byłoby popracować nad tym, by żona pięknie i radośnie przeżywała współżycie z mężem, a nie szukać dla niej namiastek przyjemności na wątpliwej drodze. Zauważmy, że wiara w wypowiedziane powyżej twierdzenie zwalnia niejako (a przynajmniej usprawiedliwia) mężczyznę z troski o jakość współżycia. Z troski o uczciwe spełnienie subtelnych warunków potrzebnych kobiecie do prawidłowego przeżywania współżycia. Najważniejszym warunkiem jest tu jej własny spokój, że to, co „robi” z mężem jest piękne i dobre. Śmiało mogłaby polecić takie warunki swej córce za ileś tam lat. Wszelki strach ma dla kobiety znaczenie hamujące i silnie blokujące pozytywne przeżycia. To właśnie wydaje się być prawdziwą przyczyną dość powszechnego złego przeżywania współżycia przez kobiety. Źródłem lęku w kobiecie może być znacznie więcej, niż to się przeciętnemu mężczyźnie wydaje. Może bać się tego, że ktoś ich może zobaczyć czy usłyszeć (np. teściowa za cienką ścianą). Może mieć opory spowodowane niedostateczną higieną męża, a nawet ze względów estetycznych. Może bać się, nie mając pewności czy mąż jej nie zostawi samej z dzieckiem, i wreszcie może wprost bać się poczęcia dziecka. Lęk jest uczuciem dominującym i ma moc blokowania wszystkich wyższych uczuć w sferze psychicznej i duchowej. Nic więc dziwnego, że kobiety, przyzwalające na współżycie w lęku, po krótkim czasie tracą ochotę do współżycia, niczego pozytywnego nie przeżywają, a wręcz odczuwają (autentyczny!) ból głowy na samą myśl o współżyciu. Sytuacja taka, niestety dość powszechna, jest dramatem dla małżeństwa.

Od strony mężczyzny wszystko wygląda inaczej. Mężczyzna myśli, że skoro „on może”, to żona też „musi móc”. A gdy kobieta się nie zgadza, posądza ją o złośliwość i „fanaberie”. Tymczasem kobieta potrzebuje znacznie bardziej „wysublimowanych” warunków niż mężczyzna. Przyczyna tego jest oczywista i łatwa do rozszyfrowania. To przecież na kobietę spadają wszystkie biologiczne skutki współżycia: w niej poczytna się dziecko, ona je w swym ciele nosi, będąc (jak pięknie dawniej mówiono) w stanie błogosławionym, ona ponosi szereg trudów i rozlicznych dolegliwości, ona w trudzie rodzi i ona karmi piersią. Nic dziwnego, że w naturę kobiety wpisanych jest znacznie więcej sygnałów ostrzegawczych przed działaniem, które może wszystkie te skutki zapoczątkować.

„Kobieta poza okresem płodnym jest przeważnie z natury oschła”...

Twierdzenie to, podobnie jak poprzednie, wydaje się być wynikiem własnych obserwacji, a nie rzetelnej wiedzy o funkcjonowaniu kobiety, tak w warstwie fizjologicznej, jak i psychicznej i duchowej. Otóż jest możliwa pełna fizjologiczna reakcja organizmu kobiety (do orgazmu włącznie) przy współżyciu w każdym okresie cyklu (nie tylko w tzw. płodnym). Radość płynąca z wzajemnego oddania się osób, połączonych piękną więzią psychiczną i duchową, jest zupełnie niezależna od fazy cyklu owulacyjnego. Zdaję sobie sprawę, że dla wielu współżycie sprowadza się jedynie do warstwy doznaniowej wywołanej bodźcami (o charakterze naskórkowym). Tym ludziom trudno jest zrozumieć (a może nawet uwierzyć w) głębszy wymiar współżycia. I tu właśnie zastawiona jest pułapka „doznaniowa” i pokusa „masturbacji we dwoje”. W warstwie fizjologiczno-doznaniowej jest jakby to samo, co w normalnym współżyciu, a o warstwie głębszej po prostu się nie wie. Wierzę, że małżonkowie, dla których współżycie jest aktem osobowym (zjednoczenia osób, a nie tylko ciał) doskonale wiedzą, o czym mówię i nie ulegają pokusom szukania namiastek doznań zamiast pełni radości spotkania i wzajemnego oddania.

„Pociąg seksualny ma tylko w okresie płodnym”.

Pragnienie zbliżenia z mężem wiele kobiet zgłasza nie tylko w czasie rozpoznanym jako tzw. płodny. Dla wielu par małżeńskich współżycie pozostaje pięknym wyrazem miłości do końca życia, nawet wiele lat po wygaśnięciu płodności kobiety. Dzieje się tak powszechnie w parach, które współżycie przeżywają jako głęboki kontakt osobowy, a nie tylko jako rozładowanie napięć seksualnych. Co prawda, repertuar doznań cielesnych jest ograniczony, ale możliwość pogłębiania więzi psychicznej i duchowej nie ma końca. I dlatego współżycie do końca życia może być coraz piękniejsze i coraz większą głębię więzi i wzajemnego oddania wyrażać. Myślę, że trudno w powyższe zdanie uwierzyć osobom, które (oszukane przez masową kulturę) koncentrują się jedynie na warstwie doznaniowej, zupełnie nie wiedząc, co tracą.

Jest również niestety faktem, że wiele, a nawet (po urodzeniu planowanych dzieci) większość żon w ogóle nie jest zainteresowanych współżyciem małżeńskim.

Jest to jednak poważny i bolesny problem „jakości” współżycia w ogóle. Wymaga on osobnego omówienia. Powiedzmy jedynie, że strach blokuje w kobiecie możliwość pięknego przeżywania współżycia.

„Tak więc nie zrobienie jej przyjemności w postaci pocałunków, złożonych w celu rozładowania napięcia seksualnego i przekazania jej przyjemności, jest dla niej dużą krzywdą”.

Tu myślę inaczej (proszę to skonsultować z własną żoną). Zgadzam się, że pozbawienie gestów czułości (w tym pocałunków) jest dla kobiety krzywdzące. Uważam jednak, że gesty te mają wyrażać bezinteresowną czułość, a nie rozładowywać napięcie seksualne, które powinno być budowane i rozładowywane jedynie we współżyciu płciowym.

„Zresztą to i tak jest tylko przyjemny skurcz mięśni i nie jest, jak to nam wmawiano, coś złego”.

Oczywiście „skurcz mięśni”, jako zdrowa reakcja fizjologiczna na bodźce, sam w sobie nie jest ani dobry ani zły. Nie podlega ocenie moralnej. Jednak okoliczności jego wywołania mogą być moralnie dobre lub złe. Łatwo wymienić okoliczności, w których celowe spowodowanie przeżycia tego „skurczu mięśni” zasługuje na jednoznacznie negatywną ocenę moralną: wszelkie sytuacje pozamałżeńskie (przed ślubem, podczas zdrady), autoerotyzm (tzw. masturbacja, samogwałt, onanizm), działania homoseksualne. Powyższe nie podlega chyba dyskusji. Dodać jednak muszę, że również działania w małżeństwie niezgodne z naturą (tj. zamysłem Stwórcy) mogą uzyskać negatywną ocenę moralną. Są to wszelkie działania, w których doprowadza się do szczytowania i zamierzonego złożenia nasienia męża poza otwartymi na jego przyjęcie drogami rodnymi żony (np. tzw. seks oralny, analny czy stosunek przerywany). Wiem, że ma Pan inne zdanie na ten temat, lecz chcąc być uczciwym, muszę jasno wyrazić swoje, a osadzone w nauce Kościoła, zdanie.

Zachęcam Pana gorąco do szczerzej rozmowy na ten temat z doświadczonym duszpasterzem. Niepokojące bowiem jest, kiedy osoba, podająca się za głęboko wierzącą, głosi poglądy jawnie sprzeczne z nauką Kościoła. Nauką, która dla wierzącego jest nieomylna, bo zabezpieczona przez Ducha Świętego.

A tak na marginesie, sprowadzanie spotkania intymnego żony i męża do „przyjemnego skurczu mięśni” jest dużym sflacyeniem kontaktu osobowego, mającego budować komunie małżeńską na wzór komunii Osób Boskich (Jan Paweł II).

„...U mężczyzny, jeśli nie zostanie to napięcie w jakiś sposób rozładowane, to i tak nadmiar nasienia zostanie samoistnie wyrzucony”.

W zdaniu tym pomieszane są ze sobą dwa pojęcia: nie podlegająca ocenie moralnej samoistna reakcja fizjologiczna organizmu (wyrzucenie nadmiaru wyprodukowanych plemników - polucja, zmaza nocna) oraz zdecydowanie podlegające ocenie działanie seksualne, mające na celu doprowadzenie do reakcji organizmu aż do wytrysku nasienia. Nie wolno tu stawiać znaku równości. Proszę się nie gniewać, ale analogiczną konstrukcję logiczną ma zdanie: jeżeli gwałciciel nie rozładuje swojego napięcia seksualnego przez gwałt, to i tak nadmiar plemników zostanie wyrzucony w czasie polucji. Drugi fakt w niczym nie usprawiedliwia pierwszego. Reasumując: ocenie moralnej podlegają czyny człowieka, a nie reakcje, które się w jego organizmie dokonują.

A swoją drogą, bardzo zaniedbaną przez mężczyzn jest sztuka wyciszenia powstałego w sposób niezamierzony napięcia – bez doprowadzania do wytrysku nasienia. Umiejętność ta jest szczególnie ważna dzisiaj, kiedy mężczyźni (nie tylko młodzi chłopcy) atakowani są agresywnymi, chciałoby się rzec – wszechobecnymi bodźcami, mającymi za cel zburzenie spokoju ciała mężczyzny. Co gorsza, wielu mężczyzn ugania się za tymi bodźcami właśnie dla doraźnej przyjemności, towarzyszącej zawsze

rozładowaniu zbudowanego napięcia. A już tragedią jest, gdy coraz częściej lansowane „autorytety” seksuologiczne głoszą, że jest to naturalne, pożyteczne, ba, nawet zdrowe. By nie być gołosłownym, zacytuję: A co z masturbacją? Wielu uważa, że to, hmm, ciut niezdrowe. Z. L.-S.: To są jakieś XIX-wieczne koncepcje. Z.I.: Prawie 40% Polaków traktuje masturbację jako zaburzenie psychiczne. To są zatrważające dane. To poczucie nie pozwala im czerpać radości z masturbacji, która w przekonaniu seksuologów jest czymś absolutnie zdrowym, wręcz zalecanym. (Gazeta Wyborcza, 4 sierpnia 2003).

„Seksuologów” mylących normę z patologią ś.p. prof. Włodzimierz Fijałkowski zwykł nazywać „seksopatami”. Zgadza się z nim w całej rozciągłości. Trudno się dziwić, że dziś normalni ludzie mają mętlik w głowie.

„Nie nazywajmy też tego nieczystością, bo nieczystością to nie jest”.

Trudno podjąć polemikę ze zdaniem: „Nie, bo nie”. Zwracam jedynie uwagę na to, że autorytatywne sądy często są przykrywką własnych lęków i niepokojów, usprawiedliwieniem własnego postępowania, próbą zagłuszenia odzywającego się sumienia.

„...Wydaje mi się, że chrześcijanie muszą na to spojrzeć mniej dewocyjnie”.

Trudno się zgodzić na nazywanie myślenia zdrowo-rozśadkowego podejściem dewocyjnym. Naprawdę, odczytywanie naturalnych prawidłowości w przebiegu reakcji narządów rozrodczych, analizowanie ich przeznaczenia czy wreszcie skutków ich działania, nie jest działaniem ideologicznym, gdyż podlega badaniu przez nauki ścisłe. Mówienie, że „tak się rozmnażamy” nie jest indoktrynacją katolicką, a obiektywną prawdą naukową. Podobnie mówienie, że podczas działania seksualnego naturalnym miejscem złożenia plemników jest pochwa żony, nie jest przejawem dewocji, a jedynie dowodem rozumienia celowości funkcjonowania narządów rozrodczych.

„Petting jest jak najbardziej naturalny. Bardzo lubię tę gazetę, ale zaczyna mnie irytować tymi skrajnościami”.

A może warto byłoby spojrzeć prawdzie w oczy? Błądzenie wszak jest sprawą ludzką. Czy nie jest przypadkiem tak, że akceptuję naukę Kościoła w tym, w czym ją bez trudu wypełniam, a odrzucam wtedy, gdy sam niezgodnie z nią postępuję? Czy nie godniejsza człowieka jest po prostu zmiana swojego postępowania, a nie odrzucenie nauki Kościoła. Odrzucanie uzasadnione frazeologią: skrajność, dewocja, „nie, bo nie”.

Spowiednik pyta penitenta: A jak z niedzielną Mszą św. ? Penitent oburzony odpowiada: Proszę ojca, ja jestem katolikiem, a nie fanatykiem!...

„Jeśli jest to w małżeństwie podyktowane miłością, to nie jest złe”.

Faktycznie „prawdziwa miłość” nigdy nie krzywdzi, zawsze przynosi dobre owoce, po których ją poznajemy. Rzecz w tym, że człowiek nawet uczciwie pragnąc wyrażać swą miłość, niejednokrotnie błądzi i robi coś, co przynosi złe owoce. Tak właśnie ma się rzecz z wyrwanymi z naturalnego kontekstu przyjemnościami.

„Skoro Pan Bóg dał tę przyjemność, to nie po to, by jej unikać”.

Zamiast komentarza przytoczę fragment książki C. S. Lewisa, Listy Starego diabła do Młodego: „...Wiem, że zdobyliśmy niejedną duszą poprzez przyjemności. Niemniej jednak jest to Jego wynalazek, a nie nasz. On stworzył przyjemności: żadne z naszych dotychczasowych dociekań prowadzonych w tym kierunku nie pozwoliło nam wytworzyć chociażby jednej. Wszystko, co możemy uczynić, to zachęcać ludzi, aby z przyjemności wytworzonych przez naszego Nieprzyjaciela korzystali w czasie, w sposób lub w stopniu przez Niego zakazanym. Dlatego staramy się zawsze wypaczać naturalny stan każdej przyjemności i nadać jej taką formę, w której byłaby najmniej naturalna, najmniej przyjemna i najmniej przypominała swego Stwórcę. Stale rosnące pożądanie stale malejącej przyjemności - oto właściwa formuła. Zyskać duszę człowieka i nic mu za to nie dać - oto, co naprawdę cieszy”.

Kończąc, zachęcam do rzetelnej refleksji na bazie przytoczonych wyżej argumentów. Liczę, że nie obrazi się Pan ani na mnie, ani na Kościół za twarde i jednoznaczne stawianie sprawy. Wykładnia musi być klarowna, a czyny ludzkie... cóż, w przypadku skruchy, zawsze objęte są Bożym miłosierdziem.

Jacek Pulikowski